

## **Jan Maciejewski: Życ, znaczy tęsknić i próbować powrócić. Odyseja i Oficjum**

Jestem przekonany, że między Odyseją a Oficjum, kolejnymi przygodami króla Itaki i następującymi po sobie liturgicznymi godzinami, istnieje głębokie pokrewieństwo. Że są tylko dwoma wersjami tej samej opowieści – Epopei Powrotu, Romansu Wierności – pisze Jan Maciejewski w drugiej części cyklu „Godziny”.

Sokrates nie miał dobrego zdania o pisaniu: „Ten wynalazek (liter) niepamięć w duszach ludzkich posieje, bo człowiek, który się tego wyuczy, przestanie ćwiczyć pamięć, zaufa pismu i będzie sobie przypominał wszystko z zewnątrz, ze znaków obcych jego istocie, a nie z własnego wnętrza, z siebie samego. Więc to nie jest lekarstwo na pamięć, tylko na przypominanie sobie. – Dawniej ludzie nie byli tacy mądrzy, jak wy, młodzi, w prostocie ducha umieli i dębu, i głazu posłuchać, byleby tylko prawdę mówić”.

Mędrzec epoki słowa mówionego obawiał się hegemonii liter mniej więcej tak samo jak my, dzieci pisma, boimy się obecnie aneksji naszych umysłów przez narzędzia bezpośredniego transferu wrażeń – filmików, memów, seriali, kolaży z wrażeń i bodźców. Sokrates bał się, że pismo wypłucze z nas własną treść, stanie się zewnętrznym wobec nas nośnikiem pojęć, które będą tylko przepływały bezwolnie przez dusze i umysły. Po co pamiętać o tym, co zostało zapisane? Po co próbować zrozumieć to, co inni zdążyli zrozumieć za nas. Po co się męczyć? Ostatecznie, w całej tej sprawie, zmienności sposobów

przekazywanie myśli i obrazów – od mowy do pisma, od pisma do „postpiśmienności” – chodzi właśnie o to. O wysiłek i o to, jak go sobie zaoszczędzić. I od którego momentu oszczędność ta uczynić może z nas barbarzyńców. Bezwolne przedmioty w rękach obcych słów, wydrążone koryta, przez które przepłyną rzeki nie naszych pojęć i wrażeń.

Sokrates miał słuszne obawy, ale nie znał wynalazku, jaki połączył epoki mowy i pisma. Książki, której lektura polega na wydobywaniu treści z własnego wnętrza, z siebie samego. Której słowa są nutami, a ona cała – partyturą. Jej sens jest muzyką, jej właściwa lektura – grą. Zanim zabrzmiał pierwszy dźwięk, trzeba nastroić instrument. Dostroić duszę i umysł do sensu każdego słowa. A muzyka nie płynie przecież z nut – one są tylko pretekstem, wskazówką, podpowiedzią. Ona przybywa zza granicy jakiegoś wielkiego zapomnienia. Przypląwa stamtąd, gdzie każdy z nas z głębi serca pragnie wrócić. Sokrates z pewnością zmieniałby zdanie o piśmie, gdyby poznał Psalterz.

\*\*\*

Pod sam koniec książki „Cywilizacja Psalterza”, jej autor, Ojciec Szymon Hiżycki, opat tynieckich benedyktynów, zadaje pytanie, co tak naprawdę zmieniło się na polskich ziemiach po przybyciu na nie uczniów świętego Benedykta. Co takiego przynieśli oni ze sobą, że tamta chwila wyznacza cywilizacyjny przełom? Czym było to „coś im właściwego, przez nich ukochanego, a co potem stało się dziedzictwem, czyli wspólnym dobrem, i przez to w jakimś sensie wymknęło się mnichom spod kontroli”? Była to książka, być może pierwsza, jaka w ogóle pojawiła się na tym fragmencie lądu, który miał potem stać się

Polską. I która to właśnie w pewnym sensie Polskę z niego zrobiła. Tym czymś był Psalterz i nieodłączna od niego, „Reguła świętego Benedykta”.

„Mówiąc o psalterzu – pisze ojciec Szymon – jeśli chcemy pozostać wierni Tradycji, mamy na myśli to wszystko, z czego on wyrósł, co wokół psalmów się rozgrywa, co one wyrażają, czemu służą, całą tę rzeczywistość, która dzięki nim nieustannie jest aktualizowana. Psalmi są gramatyką spotkania z Bogiem. Powiedzenie, że zawierają modlitwy, jest nie do końca odpowiednie, ponieważ nie są tylko modlitewnikiem, ale czymś znacznie bardziej pojemnym – pomagają w obliczu Stwórcy przepracować i na nowo włączyć w pieśń ku Jego chwale całą historię jednostek i narodów, blasków i cieni, radości i rozpacz. W psalterzu jest wszystko. Nic zatem dziwnego, że ten, który go czyta, wchodzi na nową drogę i wszystko wokół niego ulega totalnej przemianie, skoro wszystko może zostać włączone w hymn Bożej chwały. Psalterz to wszystko, co związane jest z modlitwą, co jej służy, do niej prowadzi, na jej ścieżkach pozwala wytrwać, zatem jest pod każdym względem fundamentem”.

Można było nie zdawać sobie nawet sprawy z jego istnienia, z tego, że codziennie, o wyznaczonych porach grupy jakichś dziwnych mężczyzn w brązowych ubraniach zbierają się na monotonnym odmawianiu kolejnych jego fragmentów, ale nie dało się udawać, że nic się nie zmieniło. Wraz z Psalterzem „szło nowe”, by zacytować tytuł jednego z tomów „Bolesława Chrobrego” Antoniego Gołubiewa. Coś, co tkwiło ukryte w środku każdego dębu i głazu, w rzekach i na łąkach, zostało wydobyte na wierzch. O czymś dawno zapomnianym, ledwo i niewyraźnie tylko dotychczas przeczuwanym, zaczęli sobie przypominać zarówno ludzie, jak i ziemia, po której chodzili. Benedyktyni byli instrumentem, z którego popłynęła Pieśń Stworzenia. Psalmi, z ich całym, nieporównywalnym z niczym innym,

dramatyzmem i bogactwem. W nich naprawdę jest wszystko, każdy stan ducha i chwila dnia. I wszystko, cała ziemia, która usłyszała tę pieśń, zaczęła nią rezonować. Polska powstała jako pudło rezonansowe dla Psalterza. W jego wersach znajdowało się to, o czym – jak pisał Philippe Harnoncourt a za nim Joseph Ratzinger – nie można mówić, a nie da się milczeć, więc trzeba grać i śpiewać.

Psalterz, Święte Oficjum, zwane dzisiaj Liturgią Godzin bardziej niż cokolwiek innym jest podróżą. Jak pisał święty Augustyn: „Śpiewamy jeszcze nie po to, aby zachwycać się odpoczynkiem, ale po to, aby ulżyć naszemu brzemieniu. Jak śpiewa podróżny: śpiewa, ale idzie naprzód. Śpiewaj, aby podtrzymać swój wysiłek. Nie bądź leniwy! Śpiewaj i idź! Co znaczy: idź? Postępuj, postępuj w dobrym! Śpiewaj i idź, nie błędząc, nie cofając się, nie drepcąc w miejscu”.

Klasztorne cele, pustelnicze eremy nie były miejscami odpoczynku, tylko walki. Nie przystania, a łodzią. Ich mieszkańcy, dzięki temu, że nie odbywali pozornych podróży, mogli się skupić na tej jednej prawdziwej. Podróż powrotnej, drodze do domu, z którego wszyscy zostaliśmy wygnani.

W tym sensie pierwszym mnichem, pierwszym przecuciem mniszego powołania i godności, był Odyseusz. Człowiek, który musiał wrócić. Oprzeć się pokusom pięknych nimf i wymknąć łapskom okrutnych cyklopów. Który nie wyjaśnia w żadnym miejscu swojej żądy powrotu, potrzeby, jakiej podporządkował wszystko inne. Tak jak my nie tłumaczymy się z potrzeby oddychania. Każdy inny bohater zostawiał dom za sobą, wyruszał. Odys zostawiał za plecami wszystko, co nie było domem: bogów, kobiety, potwory i zaszczyty. To też pierwsza i jedyna chyba taka historia miłosna, której osią jest nie romans, tylko małżeńska wierność. W której skarbem do zdobycia są ciepłe kapcie i wspólne wieczory u boku starzejącej się żony.

Jestem przekonany, że między Odyseją a Oficjum, kolejnymi przygodami króla Itaki i następującymi po sobie liturgicznymi godzinami, istnieje głębokie pokrewieństwo. Że są tylko dwoma wersjami tej samej opowieści – Epopei Powrotu, Romansu Wierności.

Ta, która wybrała sobie na pośrednika, instrument, na jakim zabrzmiał, ślepego Greka jest oczywiście mniej dokładna, nie tak precyzyjna jak jej wersja, która wezbrała w ustach rudego i lekko postrzelonego króla Izraela. Ale przecież na dobrą sprawę obaj, Homer i Dawid, tylko przeczuwali. Starali się nazwać coś, co cały czas im umykało. Już widzieli jakiś obraz, symbol lub postać, żeby po chwili zniknęły w gęstwinie znaczeń i sprzecznych intuicji. Nie dawały się przyszpilić, unieruchomić, zapisać. Pozostawał niedosyt, więc pisali kolejną księgę albo psalm. Obraz był zbyt żywy, żeby zaprzestać pościgu, a jednocześnie nie na tyle wyraźny, żeby uchwycić go we wnyki słów. Bo to jedno, zasadnicze i rozstrzygające Słowo dopiero wiele wieków później miało stać się ciałem. Dopiero wtedy wielkie przeczucie przyszło na świat. Nie można było go schwytać, musiało samo wydać się w nasze ręce.

Tymczasem ci dwaj słyszeli wyraźnie, tylko usta nie były im posłuszne. Musieli odczuwać tę samą męczarnię, jaka spotyka każdego kompozytora podczas słuchania własnych utworów. Tak bardzo odbiegają one od muzyki, która rozbrzmiewa w jego wnętrzu, tej, którą próbował zapisać za pomocą nut. To samo niespełnienie musi czuć też każdy pisarz, który zachowuje wierność swojemu powołaniu: w pierwszej kolejności stara się usłyszeć, dopiero potem zaczyna pisać. Wie, że historie nie powstają w jego głowie, ale do niej przychodzą. Wszystko, co musi zrobić to okazać im gościnność i wyprawić w dalszą podróż. Chciałbym podkreślić w tym zdaniu słowo „musi”.

Powołanie nie jest nieśmiałą propozycją, ale nieznoszącym sprzeciwu rozkazem. Homer i Dawid nie śpiewali, żeby spodobać się kobietom czy zarobić na chleb. Jedno i drugie dałoby się załatwić mniejszym kosztem. Śpiewali, układali zdania i wersy, bo inaczej nie potrafili. Nie mogli tego powstrzymać, jak podpalany ogniem albo rodząca kobieta nie może przestać krzyczeć. Rozerwałoby ich od środka, gdyby nie próbowali znaleźć odpowiednich słów dla wyrażenia tęsknoty, jaka się w nich obudziła. Owszem, mogli odwrócić się od tego wezwania plecami, ale wtedy umarliby za życia. Jeśli ich ciała nie byłyby instrumentem, bramą dla pieśni, stałyby się workiem na kości. A oni wyzionęliby ducha pod jakimś płotem, zapomniani nawet przez samych siebie.

Zawdzięczamy im to wielkie odkrycie, które już na dobre naznaczyło całą naszą cywilizację, a literaturę zwłaszcza – że żyć, znaczy tęsknić i próbować powrócić.

\*\*\*

Reguła świętego Benedykta i Tradycja znalazły miejsce dla każdego psalmu w kolejnych porach dnia i dniach tygodnia; uporządkowały i wzbogaciły, dopowiedziały to, co nie mogło być w nich jeszcze nazwane. Tak powstało Święte Oficjum. Narzędzia do ponownego odczucia świata; zrozumienia i doświadczenia zupełnie inaczej każdej chwili, od świtu do zmierzchu. Wyostrzenia zmysłu nadprzyrodzonej obserwacji. Tego, że właśnie teraz, w tej konkretnej chwili, tego wieczoru lub przedpołudnia, odbywa się historia zbawienia. Że słońce podnosi się albo znika za widnokrzem nie dlatego, że popycha je do

tego jakieś żelazne prawo natury, tylko pociąga za sobą odwieczny zamysł. Ten, który zawiera w sobie również wszystkie nasze troski i radości, miejsce i stan, w jakim się znajdujemy. Każda rzecz ma swój czas. A każdy czas ma w ramach Świętego Oficjum swoją godzinę. Ta ścieżka nigdy się nie urwie.

Jeszcze nie tak dawno każdy kapłan był zobowiązany do codziennego odmawiania wszystkich godzin pod karą grzechu ciężkiego. I był ten przymus zaiste homerycką i dawidową intuicją. Musisz śpiewać, śpiewać bez końca; śpiewać o tym, o czym nie da się mówić, a za nic w świecie nie można milczeć. Nie zatrzymuj się na ani jedną prymę czy kompletę. Bo jeszcze mógłbyś pomyśleć, że jesteś na tym świecie u siebie; zapomnieć, że zostałeś wygnany i musisz powrócić. Przystaniesz tęsknić, zaczniesz się urządzać, kręcić w kółku. I uwiodą cię syreny albo pożąra do spółki Scylla z Charybdą. Złamiesz swoje oficjum, zaprzepaścisz, nie domkniesz odysei.

Od dawna dręczy mnie myśl, żeby zorganizować dla nich spotkanie. Przejść z Odysem przez kolejne godziny Świętego Oficjum, od jutrzni do komplety. Osiem przygód będących modlitwą, albo raczej osiem modlitw stających się przygodami. Ten sam obowiązek i namiętność – powrócić, skąd mnie wygnano i odzyskać, co utraciłem.

Jeśli jest na to spotkanie właściwy moment, to tylko teraz, w Wielkim Poście; czasie, kiedy wszyscy stajemy się trochę mnichami, zaczynamy mieć niecodzienne obowiązki i nakładamy na siebie nadzwyczajne ograniczenia. Święty Benedykt definiował życie mnicha jako niekończący się Wielki Post. I miał tu na myśli nie tyle wyrzeczenia, ile nadzieję, oczekiwanie na paschę – przejście. Idąc przez życie, w regularnym rytmie codziennych modlitw i prac, przygotowywali się do tego jednego, małego kroku dla człowieka, ale nieskończonego dla jego duszy. Do powrotu.

*Jan Maciejewski*

W kolejnym odcinku, w porze jutrzni, wymkniemy się nimfie Kalipso.